

upadłem z kładki w nurt rzeki. Patrzyłem na te zarośnięte ścieżki, którymi banderowcy idąc śpiewali:

*Ja w stepu leżu za ideju swoją,
Czornyj kruk nado moju zakriacze.*

Te czarne ptaszyska krążyły w powietrzu, otwierały dzioby i krzyczały „trup-trup-trup!”. Poszedłem na Zahuty, zająłem do studni, gdzie spoczywa polski oficer wraz z rodziną, zlikwidowani kiedyś nie wiadomo przez kogo, lecz była zapchana chrustem.

Wstąpiłem też na Wołę Wołodzką, gdzie kiedyś była „Mohyla”, czyli Grób Nieznanego Żołnierza. Był to wyspany duży kopiec z brzoźowym krzyżem, lecz teraz nie było po nim śladu. Okazało się, że po naszym wysiedleniu przysłano z Birczy dwa buldożery, które zrównały kopiec z ziemią, chociaż tam byli pogrzebani zabici ludzie. Zamieniłem parę zdań z miejscowym, który powiedział: „Panie, to co zrobili z tą mogiłą to zgroza. Ja te wszystkie porozrucane piszczele i czerepy pozbrałem i zakopałem, bo nie mogłem patrzeć, jak je zwierzyzna roznosi”.

Wróciłem na miejsce, które kiedyś było moją wsią. Pamięć odtworzyła zdarzenie z tamtych dni. Za wsią toczy się bój. My uciekamy z wioski. Oglądam się za siebie i widzę, jak na koniu podąży w uniformie banderowskim mężczyzna z poemem na piersiach. Jedna kobieta mówi: „Ja wże dumala, szczo to Lach, a to nasz”. Wówczas ten człowiek podniósł się w strzemiączkach i zaczął strzelać ponad naszymi głowami i powiedział: „Ja, wam, s...synu, dam Lachi! Ja wam dam nasi! A do domu sp...!”. Ludzie zaczęli rwać, ale mi nogi odmówiły posłuszeństwa i stałem zdrętwiały. „Ty, mały, idź do domu” – powiedział żołnierz. „Ja nie mam domu” – odpowiedziałem.

Przypominając to sobie, siedłem z oczami pełnymi łez, nawet nie zauważyłem, jak wyrosł przede mną ogromny dąb. I tu ziemia zapadła się pod moją. Byłem na swoim podwórku. Pod tym dębem 20 lat temu stałem na rozstrzał. Trochę pozostałem, ale niedługo, bo ciekawscy mogli na mnie donieść, gdzie trzeba. Na odchodne postanowiłem pójść pomodlić się pod krzyżem ku czci pomordowanych przez Niemców w 1939 roku żołnierzy polskich. Patrząc na ukrzyżowanego Jezusa, powiedziałem na głos: „Ty, Jezus, dużo krócej nosiłeś swój krzyż”.

Wstając z klęczek, podniosłem oczy i zobaczyłem znany teren. Była to Zielona Dolina, czyli po prostu Czarci Potok, z wąwozami, zapadliskami i niedostępnymi urywkami. Tam nawet diabeł miał małe. Tam często kryliśmy się, ratując życie. Kiedyś niedaleko stało kilka domów. Pewnego razu, a było to podczas akcji, młściel, uciekając, porwał za sznurek krowę, ale cielak nijak nie chciał iść za krową i został. Gdy strzały umilkły, wracaliśmy, a po drodze trzeba było przechodzić koło budynku, gdzie został cielaczek. Budynek był spalony. Gospodarz doszedł do wniosku, że cielak też się spalił. Łącząc po pogorzeliśku, ozkopując popiół, znalazł jakiś kadłub. Był przekonany, że znalazł swego cielaka. Na oczach obecnych ukroił kawałek mięsa sobie i żonie. W tym czasie ktoś ze spóźnionych uciekinierów nadszedł i powiedział, że widział, jak wojsko prowadziło do tego domu mężczyznę, który nazywał się Tucki. Ludzie zaczęli dokładniejsze oględziny i okazało się, że to kadłub ludzki.

Znałem tam kilku mieszkańców, chciałem odpocząć. Na miejscu zorientowałem się, że muszę zostać do niedziel, bo dowiedziałem się, że w naszej cerkwi ma odbyć się msza misyjna z udziałem biskupa.

Wtedy rozmawiałem z kierownikiem szkoły Marianem Kabierskim, który opowiedział mi wiele ciekawych rzeczy. Między innymi o tym, jak po naszym wysiedleniu rozmawiał z Kotwickim. Kotwicki wyznał, że raz zaprowadził kobietę z dwoma córkami, która nazywała się Krysak, do jednego z polskich domów, kazał im modlić się po ukraińsku, a potem chciał ich postzełać z mauzera. I stał się cud: co zarepetował, to niewypało. Niewypałem okazał się cały magazynek? Kotwicki pozbierał kule z podłogi i raz jeszcze nabił magazynek. Wyszedł na podwórko, naciśnął spust i... wystrzelał cały magazynek. Wszystkie naboje były dobre.

Nazajutrz poszedłem na sementarz, ale nie znalazłem zbiorowej mogiły. Skierowałem wzrok ku cerkwi. Jakaś niewiasta otwierała właśnie drzwi do świątyni. Zwróciła uwagę, że żegnają się trzy razy i nawiązała rozmowę. „Panie, po waszym wyjeździe jeszcze długo stało tutaj wojsko. Nie zapomnę jednego wydarzenia do samej śmierci. Przyszedł do mnie żołnierz i kazał mi otworzyć cerkiew. Ja to zrobiłam, a on wystrzelił dwa razy w ten obraz” – pokazała palcem obraz. – „Powiedział, że musi jeszcze zastzezić ukraińskiego Chrystusa”. Rzeczywiście, twarz Zbawiciela była w dwóch miejscach zaklejona papierkiem. Nietrudno mi było o taką refleksję: „Skoro to ukraiński Chrystus, to mógł zleźć z obrazu i pójść do bandy. Trzeba go było zawczasu zastzezić. Jednak on pozostał”.

Po mszy misyjnej udało mi się podejść do biskupa i zapisać: „Dlaczego, proszę ojca biskupa, w tej świątyni twarz Jezusa jest zaklejona papierkiem?”. Biskup odpowiedział: „Dlatego, żebyś, synu, nie wyrósł na takiego bandytę, jak ten, który strzelał do tego obrazu”.

Przed odjazdem poszedłem pożegnać się z rodzinnym miejscem. Ze łzami w oczach klęczałem i całowałem ziemię przy studni, a ta ziemia była zroszona krwią mojej babci.

Raptem odtworzył mi się obraz sprzed lat. Widzę wracających lub wycofujących się z jawornickiego boju banderowców. Szli drogą koło naszego domu, prowadzili młodych polskich chłopców, rozebranych do kaleson. Ci, którzy nie mogli iść o własnych siłach, spoczywali na noszach lub na barkach towarzyszy. Mdeleli i prosili wody. Kupka kobiet, między nimi moja matka, Malachowska, Zofia Letka, Anastazja Kucab ze łzami w oczach nad tym młodym kwiatem życia, który prowadzono na śmierć, prosili, aby pozwolić im dać wody. Pozwolono. Kobiety kłopiły usta, obmywały twarze z krwi, dawały się napić, ale dochodzili do



Параскевія Телешницька (убита 15 лютого 1945 року під час нападу відділу І. Котвицького з Борівниці на Явірник Руський)

wniosku, że to i tak wszystko na nic. Stały i płakały. Wtenczas jeden z banderowców powiedział: „Czomu wy, żінky, tak rydatecie? Za worohamy? Czyż wy ne baczyte, szczo ce Lachy?”. Lachy ne Lachy, ale ne odnaja stara maty zi słożany na oczach wghladaje swogo syna, kotroho wże bliższe ne pobaczyt’. Ony tut z dobroji woły ne pryjshy, tilyk oderżaly takyj prykaz” – odpowiedziała jedna z kobiet. Wtedy usłyszała rozkaz: „Proszu ity do chaty i tut ne dywytyś”.

Niesiono wtedy również kilkunastu rannych i zabitych upowców. Jeden Ukrainiec konał. Dostał w obie nogi powyżej kolan. Z zakrwawionej ręki wypadł mu pożegnany list do matki, pisany wierszem, jak piosenka. Było w nim tak napisane:

*Praszczajus, mammo, ja z toboju,
Praszczaj, serdenko, ty meni,
Bo ne nadyw Boh sud'boju
Z toboju westy szczastia dni.
A jak by stałoś szczoś zi mnoju,
To znaj, szczo ja tebe kochaw,
Do smerty buw ja tobi wiinyj
I vse za tebe pamjataw.*

Pisał to, widocznie, przed bojem. Upowcy poszli w dół wsi. Nadeszły posiłki wojskowe i znowu zaczęła się strzelanina, po której to mój ojciec wpadł Polakom w ręce.

Ale nie sztuka strzelać do jednego nieuzbrojonego człowieka, jak to się stało z moim ojcem. Widziałem wtedy inne bohaterstwo i inną tragedię. W Jaworniku Ruskim mieszka Paweł Burda, ma dwóch synów, Grzegorza i Piotra. W ramach uzupełnienia stanu sotni tych młodych gówniarzy, nie mających żadnego doświadczenia bojowego, biorą do naszego wojska. Pewnego razu jest znowu akcja. Wojsko polskie goni sotnię, gdzie służą ci dwaj bracia. Nas diabeł zaniósł na Kozacką Wołę w las, jakby przeczuwając, że pogoń będzie szła w tamtym kierunku. A właśnie pod lasem upowcy przyjmują walkę. My wszystko widzimy, bo siedzimy na samym skraju lasu. Pod naporem wojska, którego jest o wiele więcej niż naszych, upowcy nie wytrzymują i zaczynają uciekać. Ktoraś polska seria trafia jednego z tych braci w obie nogi. Uciekać już nie może, zabrać go ze sobą też nie mogą. Chłopiec zdaje sobie sprawę, że za chwilę wojsko dobieje go. Prosi swoich: „Ne zalyżajte mene żywoho! Dobyjte mene!”. Nie ma odważnych, nie ma cwaniaków. Wszędzie padają kule, a rodzony brat wraca i dobija brata. [...]

Po kilku latach postanowiłem znowu pojechać w rodzinne strony. Wraz ze mną jechała moja córeczka. Jechaliśmy zatłoczonym pociągłem. Koło nas jechali dwaj polscy oficerowie. Zaproponowali, byśmy usiedli koło nich, bo przecież córka mi padnie jak kawka. Weszliśmy. Córka wkrótce zasnęła, a ja zostałem zagadnięty skąd jestem, dokąd jadę. Wtęm się jak posolony piskorz, wykręcałem się, nareszcie wypowiedziałem: „Proszę panów, ja jestem z tych ludzi, których nazywają, że są z «czarnym podniebieniem»”. Zamilkli. Po pewnej chwili wywiązała się jednak dyskusja między nimi na temat tamtych lat. Ja udawałem obojętnego, lecz nastawiałem uszy, jak wystraszony zajęc. Starszy oficer, pan o siwych włosach, zaczął opowiadać o swojej wojaczce w Bieszczadach, nawet

Byłem szeregowcem, zostałem skierowany w nieznane lasy bieszczadzki Banderowcy doskonale się tutaj czuli, a nam zdawało się, że za każdym drzewem może być przycejony banderowiec. W przeddzień inspekcji generała Świerczewskiego wzmocniono posterunki. Na skrajach lasu nasi urządzili wiele zasadzek. Niektórzy nasi byli przemundurowani, aby upodobnić się do banderowców. N było to nic nowego, bo nie raz bawiliśmy się w taki sposób z banderowcami w „podchody”. Byłem na jednej z zasadzek. Długo nic się nie wydarzyło, więc można było mieć pewność, że teren jest „czysty”, ale nagle, już po przewalance, patrzyłmy przez lornetkę, że pali się jakaś wieś i słychać strzelania. Wreszcie ze wsi wyskakuje duża grupa mężczyzn dziwnie ubranych, za nimi wyłania się druga grupa, coś jakby pościg, ale też w różnych rogatywkach furazerkach, maciejówkach, batatówkach na głowach. Istny paszтет. Zbananieliśmy. Co to ma znaczyć? Pierwsza kombinowana grupa to mogą być chłopcy, ale ich goni? Kombinowaliśmy musieli nas też wygniuchać, albo jaki grom, bo otworzy chaotyczny ogień ponad nami i skręcili w bok, do lasu. A grupa pościgowa przyszi do nas i opowiedziała co się stało. Ale głowę daję, że to wszystko był wyreżyserowane, zwłaszcza, że nagle już widzieliśmy twarze naszych dowódców ich porozumiewawcze spojrzenia. To nasi go sami zabili, ale morda w kubek.

W Rzeszowie ci oficerowie wysiedli. Dojechalśmy w taki sposób z córką prawie na miejsce. Zatrzymaliśmy się w Dubiecku. Córka powiedziała, że chc siusiać, więc zapytałem się jednego mężczyzny, gdzie można zatwić potrzebę „A niech pan idzie do tej cerkwi” – pokazał ręką. Krew uderzyła mi do głowy. Rzekłem: „Ciekawe co by było, gdybym ja poszedł pod kościół?”. Gość zbarania „A, to pan chyba przyjechał z zachodu?”.

Po jakimś czasie posłaliśmy z córką do świątyni. Obiekt był nieduży, zdemolowany, wewnątrz zauważyliśmy kilka skamieniałych worków cementu i resztki so potasowej, na której było kilkadziesiąt ludzkich kupek. Nie mogąc opanować si powiedziałem głośno: „K... to chyba zapłata za Świerczewskiego”.

Znaleźliśmy się we wsi Żohatyn, gdzie przed samym wysiedleniem ofiarom si o śmierć. We wsi pełno wojska. Ja idę do ojca z zawiniątkiem na pole. Nios jedenie. Wojsko dawało wiedzy dla picu konie w celu zaorania i obsianiu gruntów, z których zaraz potem miało nas wysiedlać, a pion miał zbierać kto inny. Nagle zostaje zatrzymany. Nie wiadomo co ze mną będzie. Przede mną rzeka, n niej w poprzek położone dwie olchy, za rzeką zbawienne krzaki. Rzucam się d świętej ucieczki. Słyszę uciekając: „Strzelaj! Strzelaj do tego sk... syna!”. Był już na kładce, gdy świat zawirował mi w oczach (nawet dziś myślę sobie, jaki z mnie jolop był). Oprzytomniałem na jakimś stole, zobaczyłem przed sob człowieka w białym kitlu, kupę żołnierzy i płaczącą matkę.

Wszystkiego zaraz się dowiedziałem. Z nurtów rzeki wyłowiono moje zawiniątko, w którym podejrzewano broń lub granaty.

Chodźłem wzdłuż rzeki, pokazywałem córce rękami co i jak, wreszcie podszedłem do drzewa, przy którym przykleknąwszy, przeżegnałem się trzy razy. Tato, co wy robicie? – zapytała córka. Jak dowiedziała się przykleknęła obok.

Nagle znalazł się przy nas mały, śliczny biały kotek. Córka chciała go pogłaskać lecz krzyknęła: „Nie dotykaj!”. Wtedy córka: „O Jezu, tato, co to być dla czego?”. „Nie pytaj, kiedyś ci powiem”. Dziecko zachodziło się już od płaczu ze strachu. Wytarłem jej tzy, ale i mi ciarki przeszły po plecach, bo na naszymi